

A. K. Green.

# Który z nich?

13

(Ciąg dalszy).

Ponieważ jednak wszystko, co odnosiło się do Lionela, tak interesowało doktora, który był z pewnością najlepszym jego przyjacielem, jak i mnie, podszedłem do lekarza i nie starając się nawet wytłumaczyć swego zjawienia się, opowiedziałem mu, co widziałem.

Wydał się tem zdziwiony, by nie powiedzieć, że wzruszony. Nie spostrzegł, by podawano list Lionelowi, ani też nie zauważył w nim żadnego podniecenia. Stary Mateusz zapewne czekał na odejście doktora, by oddać list adresatowi.

— Zdziwiał mnie pan w istocie — oznajmił mi. — Rzadko znajdowałem swego młodego przyjaciela w spokojniejszym stanie. Rozmawiał ze mną swobodnie i z wielką przytomnością umysłu, mimo iż poruszany przedmiot mógł go łatwo wzburzyć. Wolałbym, by był ze mną szerszy, muszę jednak stwierdzić jego wielką zimną krew, zwłaszcza iż znajduje się w tak dwuznacznym położeniu.

— A czy nabrał pan jakiego przekonania co do sprawy, o której rozmawialiśmy poprzednio u pana?

— Odpowiedź moja nie może zadowolić pańskiej klientki — odparł poważnie doktor. — Lionel Hardy w żadnej mierze nie jest dotknięty tą dziwną chorobą, która w braku innego terminu nazywa się zdwojeniem osobowości. Gdyby tak było w istocie, nie pamiętałby tego, co czynił w czasie podobnego stanu, a on przypomina sobie wszystko dokładnie. Z mojej bytności u niego to tylko wynika, iż jest on zupełnie zdrow na umyśle mimo tragicznego położenia, w jakim się znalazł przy wypadku w Saint-Germain. Umyślnie używam tego słowa „tragicznego“, gdyż pański domysł jest zupełnie słuszny. On jest tym człowiekiem, który z narażeniem własnego życia pomógł przyłączeniu rozrwanego pociągu. Przyznał się obecnie do tego. Wyznał także, iż wiedział o grożącym sobie niebezpieczeństwie, o tem, iż kurjer już nadchodził. Był to czyn szlachetny i godny podziwu, zwłaszcza iż dokazał go człowiek, który nie zajmował się nigdy gimnastyką.

— Czczę szlachetność wszędzie, gdzie ją znajduję — odparłem.

— I ja również — dodał doktor.

Rozeszliśmy się, on by udać się do swych chorých, ja, by powrócić do domu. Przedtem jednak wstąpiłem do restauracji na avenue Victor Hugo, gdzie nieraz jadłem obiad. U siebie byłem dopiero po dziewiątej godzinie.

W przedpokoju czekał na mnie jakiś człowiek. Był to agent policyjny z poleceniem od sędziego śledczego, bym przybył do niego możliwie najwcześniej.

Trudno było pomylić się co do znaczenia tego zawiadomienia. Zbyt zajmowałem się sprawą Hardy'ego, by nie zwrócić na siebie uwagi policyj. Przewidywałem też, że sędzia będzie mnie wypytywał o to, czego się sam dowiedziałem i chociaż wydało mi się to przykre, musiałem jednak przyznać, iż nadszedł już czas, bym rozmówił się z przedstawicielem sprawiedliwości.

Na nieszczęście dla mnie, dzięki mym wyjaśnieniom właśnie mogłem utracić na zawsze Genowefę. Nie przebaczyłaby nigdy człowiekowi, którego niezręczne wmieszanie się do sprawy spowodowało aresztowanie, a może i skazanie jej ukochanego.

Deszcz padał coraz większy i powietrze znacznie się ochłodziło. Za radą agenta włożyłem na siebie cieplejsze palto, które więcej mi się przydało tego wieczoru, niż mogłem spodziewać się tego, wychodząc z domu. Przybyliśmy do pałacu sprawiedliwości bez żadnego wypadku. Minęło już pół do dziesiątej, gdy wchodziłem do gabinetu, gdzie sędzia naradzał się z Rollinem. Wytłumaczył mi zaraz, czego chciał odemnie. Po krótkich słowach powitania oznajmił mi otwarcie, iż dowiedział się o mej wizycie u matki Lepic i o rozmowie z młodą kobietą, co do której wydano niedawno rozkaz aresztowania. Ponieważ dzięki mej bytności tam mogę stwierdzić jej identyczność, prosi mnie więc, bym w tym celu towarzyszył agentom, udającym się na jej aresztowanie. Najmniejsza omyłka w tym wypadku mogła narazić na niepowodzenie całą sprawę.

— Jestem do pańskich usług, panie sędzio śledczy — odparłem — przedtem jednak chciałem wytłumaczyć...

Sędzia przerwał mi:

— Pan wybaczy — rzekł — lecz czas nagli. Z wyjaśnieniami możemy poczekać jeszcze.

Skloniłem się, gotując się do pójścia za Rollinem.

— Psi czas — zauważył stary agent, spoglądając na ciepłe palto — a mamy kawalek drogi do przebycia. Dla pana to drobnostka, bo pan młody, ze mną jednak jest już inna rzecz... Zresztą czy młody czy stary muszę przygotować się na doprowadzenie sprawy do końca.

W korytarzu zatrzymał się na chwilę, by zamienić kilka słów szeptem z jakimś człowiekiem w bluzie i czapce robotniczej, który zapewne zdawał mu raport. Otrzymał wiadomości zadowolony go, gdyż uśmiechnął się i ruszył zwawszym krokiem. Przed podjazdem dał mi znak, bym siadł do czekającego powozu.

— A więc dzisiaj rozegra się decydujący akt — odezwałem się gdy konie ruszyły?

Stary agent naprzód owinał sobie starannie nogi derką, potem dopiero odpowiedział:

— Możemy się tego spodziewać, o ile tylko jakie fałszywy krok nie zniweczy nam dobrze zasłużonego zwycięstwa. Czy mogę zapytać się pana, czy tą sprawą interesuje się pan jako przyjaciel, czy też tylko jako prawnik?

Miałem prawo zbyć to pytanie milczeniem, ponieważ jednak postanowiłem mówić szczerze z sędzią śledczym, mogłem tak samo postąpić i ze starym agentem, który zasługiwał na zupełne zaufanie.

— Jestem przyjacielem panny Saugey — odrzekłem — a jednocześnie i jej prawnym doradcą. Panna ta jest bardzo przywiązana do panów Hardy'ego. Wzwał pokrewieństwa ich wystarcza do wytłumaczenia tego uczucia. W interesie swej klientki wmieszałem się do tej sprawy, choć może zbyt czynnie, niżby to doradzała roztropność. Chciałem wykazać, że życie prywatne jej kuzynów było bez zarzutu.

— Rozumiem. I w końcu przekonał się pan, że przynajmniej z jednym z nich stało się coś wręcz odmiennego. Biedne dziecko, serdecznie jej żałuję! Pan bez wątpliwa jest człowiekiem, na którego możemy liczyć w każdym wypadku?

— Nie wiem. Nigdy nie znajdowałem się w podobnej sytuacji. Gotów jestem pomóc panu w rozpoznaniu tej kobiety, wolałbym jednak nie być obecnym przy jej aresztowaniu.

Minęliśmy plac Bastylli i skierowaliśmy się w stronę przedmieścia św. Antoniego. Rollin wysunął głowę przez okno i rzucił bystre spojrzenie dokoła. Dzielnica ta mimo deszczu i późnej pory była jeszcze dość ożywiona.

— Ani przy aresztowaniu Lionela Hardy'ego? — zapytał agent, zasuważąc okno w powozie.

Słowa te zadały mi cios prosto w serce. Jednocześnie w chwili tej koła powozu przejeżdżały przez skrzyżowanie szyn tramwajowych, wskutek czego wstrząśnienie naszego pojazdu udzieliło się i mnie. Obecnie jeszcze za każdym razem, gdy przejeżdżam w powozie przez szyny tramwajowe, doznaję tego samego uczucia przygnębienia, jakie opanowało mnie wówczas.

— I Lionela Hardy'ego? — powtórzyłem machinalnie.

— Tak. Spodziewamy się, iż zaaresztujemy go w towarzystwie tej Anity.

Zadrżałem całym. Nie chciałem wierzyć swym uszom.

— Zamierza go pan aresztować razem z Anitą? — zawołałem, nie wierząc mu — lecz niema jeszcze godziny, jak widziałem go przy drzwiach jego pałacu na polach Elizejskich.

— Możliwe. Pan jednak, który zadał sobie tyle trudów, by poznać przyzwyczajenia pana Hardy'ego, musi wiedzieć, iż bardzo często wydała się on niespodzianie z domu. Znajdziemy go, zapewniam pana, pod jednym dachem razem z Nini, zwaną Szaloną. Boję się tylko, byśmy nie pomylili się co do domu, lecz to jest nieprawdopodobne. Moi ludzie są zręczni i doświadczeni. Zresztą i sam Lionel Hardy dał już nieraz dowody, co do swej zupełnej obojętności na skutki, jakie mogą wynikać z jego czynów. Jest to dziwny człowiek, drogi panie, istotnie dziwny człowiek!

— Rzeczywiście — potwierdziłem bezwiednie.

Myśl moja zwróciła się znowu do sceny, jakiej byłem świadkiem niedawno przed pałacem Hardy'ego. Po chwili dodałem:

— A więc list, który podał Mateuszowi jakiś chłopiec, pochodził od niej? Był to list dla niego?

Stary agent nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, widząc, jak się zdradzałem naiwnie. Nie położył jednak na to żadnego nacisku, a potwierdził tylko ogólnikowo jednym słowem: „właśnie“. Potem dał tonem zaufania:

— Oddawna już wyczekiwaliśmy sposobności by przyłapać ich na korespondencji. Gdyby nie ten list, aresztowalibyśmy go dzisiaj w jego własnym domu. Wiele nam zaszkodziła gadanina dzienników, które obudzały jego czujność. Chcieliśmy ich przyłapać razem.

— Nie mogli więc panowie jej znaleźć? Nie było jej u matki Lepic?

— W ostatnich czasach nie. Już od kilku dni nie spotykano kobiety, odpowiadającej jej rysopisowi. Zdaje się, że przestraszyła się następstw wizyty pewnego znanego mi młodego człowieka, który dzięki poważnej liczbie monet pięciofrankowych potrafił wyciągnąć ją na rozmowę.

Dojechalśmy do końca przedmieścia św. Antoniego.

— To my nie do matki Lepic jedziemy? Zdało mi się, że właśnie tam zmierzamy — rzekłem.

Rollin nie odpowiadał. Powóz jechał jeszcze przez jakiś czas, potem nagle zatrzymał się.

— Tutaj właśnie mamy załatwić swą sprawę — odezwał się mój towarzysz, otwierając drzwi powozu, poczem wysiadł na trotoar, a ja poszedłem za nim.

Deszcz padał tak rzęsy, iż prawie nas oślepił. Po chwili spostrzegłem, że znajdujemy się na rogu ulicy przed małą kawiarnią, na której werandzie siedziało dwóch gości. Rollin zaczął ze swymi ludźmi ożywioną rozmowę. Gdy skończył, zwrócił się do mnie i rzekł:

— Przykro mi bardzo, lecz resztę drogi musimy odbyć pieszo. Mamy jeszcze do przebycia kilka małych uliczek, gdzie mój powóz zwróciłby za wielką uwagę.

— Jest to dla mnie obojętne — odpowiedziałem.

Rollin ruszył dość szybkim krokiem. Nie opuszczałem go ani na krok, lecz gdy się obejrzałem, ujrzałem, iż ci dwaj goście z kawiarni postępują za nami w przyzwolonej odległości. Po pewnym czasie przyłączył się do nich trzeci jakiś człowiek, a wkrótce i czwarty. Byli to agenci. Musieli być dobrze uzbrojeni i mieli stanowić naszą obronę w tych niebezpiecznych stronach. Szliśmy, nie zważając na deszcz, który zamienił się w prawdziwy potop. Nagle skręciliśmy w wąską i ciemną uliczkę, gdzie we mgle dojrzelśmy na jakie dwadzieścia kroków przed sobą słabe światelko. Była to zapewne latarnia. Niespodzianie wysunęła się przed nami sylwetka jakiegoś człowieka. Zbyt było ciemno, by można było rozpoznać jego rysy, głos jego nie wydał mi się jednak obcy.

— Wszystko dobrze — rzekł nieznajomy. — Jest tam, w głębi domu. Widziałem, jak wchodził tam przed pół godziną.

— Doskonale, Doucet — pochwalił Rollin, potem zapytał szybko. — Wie pan, na którym piętrze on jest, a stróż nie podejrzewa czego?

— Zdaje mi się, że nie. Widziałem go przed chwilą, jak siedzi u siebie przy kominku i czyta gazetę. Nie dowodzi to, ma się rozumieć jeszcze, by nasz jegomość nie został w jakiś sposób przestraszony i nie miał się na baczności. W każdym razie dobre wybrał sobie miejsce. Jest w pokoju na pierwszym piętrze, z oknami na podwórze. Gdyby przyszła mu nagle ochota uciekać, nie byłoby to trudne dla niego. Na metr mniej więcej pod oknem znajduje się dach jakiejś szopy, dotykającej do samej ściany. Postawiłem tam jednak dwóch silnych zuchów i gdyby usiłował wyjść przez okno, wpadłby w dwie pary rąk, które nie łatwo wypuściłyby go. Chce pan przejść na podwórze? Okno jest oświetlone, niema w niem ani rolety, ani firanek, któreby nie pozwalały widzieć, co się dzieje wewnątrz. Jeżeli pan chce, to mogę wdrapać się na ten dach i rzucić okiem na nasze turkawki, zanim przerwiemy ich gruchanie.

— Bardzo byłoby to dobre — odpowiedział Rollin. — Jeżeli kobieta ta siedzi w takiej pozycji, iż można przyjrzeć się jej, to pan Maujean mógłby wejść również na dach i przekonać się, czy to jest ta, której szukamy. Wszystko odbędzie się w większej dyskrecji i spokoju, niżbyśmy mieli ich wziąć, idąc po schodach. W domu jest pełno osób, prawda?

— Napchane!

Po tej lakonicznej odpowiedzi Doucet znikł nagle, jakby porwany podmuchem wiatru i deszczu, który co chwila wpadał w uliczkę, przejmując nas ostrym chłodem. Zaulek ten nie był długi; wkrótce też znaleźliśmy się pod latarnią, o której już wspominałem. W tem miejscu uliczka załamywała się i kończyła trochę dalej zamkniętą ścianą. Na prawo była duża brama, przez którą można było dostać się na podwórze. Widać było niewyraźnie szopę i okno, oświetlone na pierwszym piętrze. Podczas